

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

DO RYCERZA.

Powiedz, powiedz mi, rycerzu,
 Czemuś hardą schylił skroń?
 Choć okuta pierś w pancerzu
 I choć w dłoni dzierżysz broń?

Jakie myśli ta przyłbica
 W twem ognistym ciśnie czole,
 Żeś tak zmarszczył brwi sokole
 I w dół spuścił tęskne lica!

Czy wspominasz dawne boje,
 Bohaterskie twe wyprawy,
 Obozowe trudy, znoje,
 Okupione laurem sławy?

Czy ci jeszcze w oczach stają
 Zbite wojska twego szranki,
 Co się czernią tam i roją,
 Oblegając wroga zamki?

Bracie rycerskiego znaku,
 Powiedz, czy ci w uszach dzwoni
 Dźwięk dobytą z pochw bronii,
 Hymn, co wzywa do ataku.

Albo może bardów pienia,
 Brzmiące echem gdzieś z oddali,



Wiatr ci przyniósł i marzenia
 Na swój szumnej grając fali?

Ej nie własne tylko dole
 Zasepiły wzrok sokoli,
 Wzrok, co spoczął na téj roli,
 Z której wschodzą same bole.

I z pod której wykopane,
 Chyba czasem zbroje dzwonią,
 I nad którą sępy kraczą,
 A sokoły pióra ronią.

Rycerz rzucił bystrem wzrokiem
 W przyszłość długą i bez końca,
 Która, żółwim dążąc krokiem,
 Nie lśni szczęściem w blaskach słońca.

Może widząc liczne pługi,
 Co tę ziemię orzą czarną,
 Westchnął, że czas zejdzie długi
 Nim z téj siejby będzie ziarno.

Gabryelu Jasińskiego.

Wędrowka po kościołach w Wielki Piątek.

— Mam droga, czy prędko pójdziemy do kościołów?
— pytała piętnastoletnia Mania, zajęta chowaniem do szafy świeżo upieczonych mazurków.

— Śpiesz się, kochanko — odpowiedziała matka — bo chciałabym wyjść zaraz.

Mania włożyła płaszcz i rękawiczki i w jednej chwili stała już przy matce, która dawała służącemu ostatnie zlecenia, a potem szły obie gwarną ulicą, zmierzając do najbliższej świątyni.

Razem z niemi płynęła w tę samą stronę fala ludu, Manię opanowywało dziwne uroczyste wrażenie. Zajęta cały dzień wielkanocnymi przygotowaniem, nie pomyślała, co to za *Wielka Noc* nadchodzi. Zaczynała pojmować to teraz, zbliżając się do Ś-go Krzyża. Lubiła ten kościół, z uszanowaniem schylała głowę, ile razy ponad przechodzącą zająśniała wielka, marmurowa postać Chrystusa, co zdaje się błogosławić mijającemu ją pośpiesznie tłumowi. Dziś jednak ta postać wyjątkowe ma dla niej znaczenie, dziś przypomina dzień odkupienia. Wszyscy śpieszą do zajęć, do zabawy, a Chrystus idzie swą drogą, dźwigając krzyż na Golgotę i dziś właśnie obchodzimy pamiątkę chwili, gdy na nią uęczonym został, a my? a my?

Z tem pytaniem na ustach weszła do kościoła; słycać było pobożne westchnienia modlących się przy grobie i pieniądze hojną ręką rzucające na datek dla ubogich, ale w Mani główce panował jeszcze ten sam chaos, wywołany sprzecznością uczuć.

Jakto? tu umiera Bóg-człowiek za grzechy całego świata, a ten świat tak mało o tem pamięta, tak nic nie czyni na to, aby łączyć się z wielką myślą zbawienia ludzkości!

Mania wiedziała, że na to, by zbawić tę ludzkość, Chrystus narodził się w Betleem, że 33 lata żył tu na świecie, znosząc nędzę życia, i wreszcie w czasie swęj męki przeszedł wszystkie bóle i wszystkie upokorzenia, jakich doznać można na ziemi, ale młoda, szlachetna, potrzebowała wiedzieć, że są ludzie, co to pamiętają, że wielka nauka, dana nam z krzyża, ma naśladowców, że Bóg mówi i dziś do serc, i że są serca, co na głos jego rzucają wszystko, i idą ku niemu.

Przechodziła tymczasem, wstępując do różnych kościołów; wszędzie ten sam widok wspaniałe ubranych grobów, wszędzie światło i kwitnące rośliny zdobiły Najświętszy przybytek.

U Karmelitów cudowna rzeźba Sosnowskiego szczególnie uderzające wywarła na nią wrażenie. *Chrystus w grobie* wygląda jakgdyby w istocie leżał tu umarły, serce wyrwa się do marmurowego posągu, a drugie dzieło tego samego dłuta, Anioł Zmartwychwstania, przypomniawszy Mani inną weselszą pamiątkę, pamiątkę Zmartwychwstania. Ten sam, który teraz leżał skępowany więzami śmierci, powiedział kiedyś: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot” i zmartwychwstał, aby dać ludziom pewność, że „kto w Niego wierzy nie umiera, lecz żyć będzie wiecznie”.

Ale ludzie? Mania pragnęła mieć dowód, że są ludzie, co to rozumieją. Widziała wprawdzie pełne tace pieniędzy, składanych na ofiarę, ale ję się zdawało, że to za mało, że to serce włócznią przebite powinno było znaleźć serca, któreby szły za niem wiernie życie całe.

— Czy już wracamy do domu, mam? — zapytała, przechodząc przez plac Warecki.

— Wstąpimy jeszcze tu — odpowiedziała matka, i weszły w dziedziniec szpitala Dzieciątka Jezus. Przed niemi stał otwarty małeńki kościółek, z którego dochodził teraz śpiew kilkudziesięciu młodych głosów. Kościół był pełen dzieci, ubranych w ubogie ale czyste niebieskie sukienki, a wśród tych małych klęczało kilkadziesiąt starszych kobiet w białych kapeluszach, co jak skrzydła aniołów rozciągały się nad sierotkami. W powietrzu panowało coś tak uroczystego, jakby z serc tych wszystkich dzieci, tych wszystkich

zakonnice unosił się do Boga hymn miłości, niewypowiedzianą ustami ale głośnieją życiem całem.

To był świat inny, to był przybytek godny uęczonego Boga, tego szukała duszyczka Mani, którą matka od dzieciństwa uczyła wielkich prawd miłości Chrystusowej.

Kornie schyliła głowę, zasłuchana w smutną pieśń Gorzkich Żalów. Kilkadziesiąt kobiet, a między niemi wiele młodych i pięknych, śpiewało razem z wychowywanemi sierotkami, ucząc je zapominać o własnych bólach wobec cierpienia świętego Mistrza, który kazał iść nam za sobą i nieść krzyż życia z miłością i wytrwaniem.

W sercu Mani rodziły się coraz nowe myśli, dzień wielkopiątkowy zostanie w życiu ję na zawsze pamiętnym, ale matka wstała i wyszły z kaplicy.

— Czemu mama się śpieszy? — zapytała z wyrzutem.

— Wracać musimy do domu, do obowiązku — odpowiedziała pani P.

Mania schyliła głowę. Zrozumiała i tę naukę matki. Najprzód spełnić zawsze obowiązek chwili, a Bogu zostawić, czy nas kiedy do wyższych powoła celów.

Z. Bukowiecka.

KLOTYLDA.

KOMEDYJKA W 4-CH OBRAZACH

przez

Ignacego Poraja.

(Dalszy ciąg).

SCENA VI.

JADWIGA I KLOTYLDA.

JADWIGA (*śmieje się*).

Jacy oni śmieszni z temi morałami. Powiadam ci, moja droga, od rana do wieczora, jakby się zawzięli, ciągle mi prawią różne argumenta, a wszystkie takie nudne, że od słuchania aż mi uszy napuchły... tylko się przypatrz (*nadstawia uszu*). Ach! przyznam ci się, że to bardzo nudne. Zazdrość tym, którzy nie potrzebują mieć na raz tylu nauczycieli! Najmilsze moje marzenie, żeby zostać biedną kobietą, bo nikt się nią nie interesuje, jest swobodną, jak ptaszek, może biegać sama, gdzie chce i robić, co ję się spodoba. Być biedną, to prawdziwe szczęście. Prac, umywać, gotować, to zabawne. Ach! żebym też kiedy choć we śnie była biedną.

JADWIGA (*śmieje się*).

Co też ty pleciesz, moja droga. Ale powiedz mi, co oni ci robią za krzywdę, że tak narzekasz?

KLOTYLDA.

Siadaj (*siadają*). Oto widzisz, rano każą mi wstawać, a tu chce się spać; tymczasem trajkoczą mi nad uszami: wstawaj! wstawaj! że nieraz to pod ziemiębym się skryła.

JADWIGA.

To czemuż nie wstajesz?

KLOTYLDA.

Bo niema żadnej potrzeby. Pan S. przecie powiedział, że młoda osoba jak śpi, to najlepiej rośnie; a ja chcę wyrosnąć tak, jak pani B. Zresztą moda każe spać długo, do 1-jej po południu. Teraz lokaje wstają zaledwie o 8-jej rano i to jeszcze przez pół godziny ziewają.

JADWIGA.

Jeżeli będziesz spała do 1-jej, to kiedyż będą lekcye?

KLOTYLDA.

Ach! te lekcye, rzecz równie nieznośna, jak i ranne wstawanie. Tak mnie ucza, jakgdybym miała być guwernantką, albo urzędnikiem w jakiej kancelaryi.

JADWIGA.

Przyznaj, Klotylde, że przecie coś umieć potrzeba. Cóżbyś zrobiła na przykład bez znajomości arytmetyki?

KLOTYLDA.

To co i z arytmetyką, to jest nic. Przecież są oficjaliści, którzy rachować będą, a z magazynów rachunki przysyłają podsumowane.

JADWIGA.

No, dobrze... A geografia?

KLOTYLDA.

Ta najmniej potrzebna. Tyle mam rozumu, że w puszcze Sahary, gdzie dróg żelaznych i hoteli niema, nie pojedę, a do Wiednia, Wenecyi lub Paryża, abym tylko zapłaciła za bilet, to wszędzie mnie koleją żelazną konduktorowie zawiozą. To ich rzecz.

JADWIGA.

Czy i znajomość literatury ci nie potrzebna?

KLOTYLDA.

Wierszy przecie pisać nie będę. Do kogo? do panów? przecież to oni pisać powinni. Zresztą powiadają, że kobieta nie powinna wdawać się w korespondencye. Od tego będzie sekretarz.

JADWIGA.

To może księdza lekcye lubisz?

KLOTYLDA.

Tego nie powiem. On mnie opowiada, co się działo w Starym Testamencie. Od czasu jak się dowiedziałam, że Józefa bracia wrzucili do studni, nigdy z Władziem około studni nie chodzę. A nauka o obrzędach kościelnych, no powiedz sama, poco mi to? Jak będę miała kapelana, to jego będzie rzeczą wiedzieć, kiedy zaśpiewać: Dominus vobiscum! i kiedy w jakim kolorze ma Mszę Świętą odprawić. Zresztą księdzem nie chcę być za nic w świecie.

JADWIGA (*śmieje się*).

A wiesz? że jesteś wyborna. To może lubisz sztuki piękne; może malarstwo jest w łaskach?

KLOTYLDA.

Tak, zapewne, ale z daleka, żebym nie potrzebowała mazać sobie rąk farbami. Niech inni malują, a jak mi się obraz podoba, to go kupię i umieszczę w galerji tak, jak w Wilanowie.

JADWIGA.

Radabym jeszcze zapytać się o muzykę.

KLOTYLDA.

Cóż to, na egzamin mnie bierzesz?

JADWIGA.

Daruj, moja droga, ale radabym nareszcie dowiedzieć się, czy jest coś takiego, co lubisz?

KLOTYLDA.

Skoro tak, to powiem ci otwarcie, że muzyki niecierpię, nienawidzę. Za nic w świecie nie bawiłabym nikogo muzyką i śpiewem; tylko potem obgadują i śmieją się. Jeżeli zechcę muzyki, to pojedę do teatru albo też tak jak pani Januszowa dam piękny wieczór i zaproszę jaką pannę Artot, to mi za 300 rs. zaśpiewa, albo pojedę na koncert w bardzo pięknym stroju, bo to lubię.

JADWIGA.

A więc lubisz coś nareszcie.

KLOTYLDA.

Tak jest, lubię i bardzo; lubię być pięknie ubrana, w suknią z trenem ale długim; lubię być otoczoną wesołością, śmiechem, dostatkami, dobrym tonem; przyjmować gości... wchodzę do sali... panowie się kłaniają, a ja przymrużam oczy i lekko pochylam głowę, jak królowa!

JADWIGA (*przez cały ten czas zasmuca się*).

Daruj, moja droga, ale jestem zdumiona, jak może panienska w twoim wieku tak mało mieć zastanowienia, a tak wiele lekkomyślności. Ani na chwilę nie przypuszczam, ażebyś tak myślała i czuła, jak mówisz, niemniej jednak jestto przykre. I jeżeli to wszystko, co mi mówiłaś, powtarzasz swęj matce i bratu, to powinnaś zaraz gorąco westchnąć do Boga, ażeby umysł twój oświecił i uspokoił, bo ich musi serce bardzo boleć, tak jak mnie w tej chwili. Tó też nie dziw się, że mówić z tobą o zabawie na cześć twojej matki nie będę. Zbyt ci dobrze życzę, abym tolerowała twoje dzieciństwo. Bądź zdrowa (*wstaje*). Jak się przekonasz, że człowiek stworzony

nie do zabawy, lecz do pracy, a przedewszystkiem, że panienska dobrze wychowana nie wybiega myślą poza góry, ale uczy się i miłuje ciche życie, to przyślij po mnie, bo przedtem nie ujrysz mnie wcale! (*wychodzi*).

KLOTYLDA (*zdumiona*).

Czego ona się tak unosi! Przecież ja nic takiego nie mówiłam. Pytała się, to jej odpowiadałam na zapytanie, tak jak myślę. Ja nie chciałam jej zasmucić. Ja nikogo nie chcę gniewać. Ja kocham moję mamę. Ja wszystkich kocham... To oni się na mnie ciągle gniewają, to oni dla mnie niedobrzy. Wszystko ganią, co tylko mówię. Jakie to smutne! (*zamyśla się*). A może ja i źle robię, czy ja wiem? (*przechodzi się po pokoju zamyślona, po chwili staje i mówi*.) Władzio chciał, żebym się pomodliła. O tak... dobrze... (*zwraca się do obrazu Mathi Boskiej nad klęcznikiem zawieszonyj*)... pójdę do Ciebie, Matko Boska, będę Cię gorąco błagała, abys mi dopomogła stać się taką dobrą, jak oni pragną. Mama mi mówiła, że Pan Bóg zawsze wysłuchuje modlitwy, jeżeli ona z serca pochodzi, więc pójdę się modlić. (*klęka na klęczniku, modli się i po chwili nachyla się ku ziemi z pokorą*). (*zasłona zapada*).

Obraz 2-gi.

(*Rzecz dzieje się we 20-a lat później. Gabinet Klotyldy*).

SCENA I.

WILHELM URWISOWICZ BRĄDCA DÓBR, MORDKO ALTMAN,
POTEM KLOTYLDA.

WILHELM.

No i cóż? nie namyślisz się dać pieniędzy?

MORDKO.

Na co ja mam dać pieniędzyż, ja przyjechał, coby swoje odebrać, kto teraz pożyczka? Zkąd je wziąć?

WILHELM.

No, to kup wełnę.

MORDKO.

Jakie wełnę?

WILHELM.

Tę, co będzie w Czerwcu.

MORDKO.

Niech ją moje wrogi kupują. A komornik?

WILHELM.

Jakto, już wiesz? (*Klotyllda **) *staje we drzwiach*).

MORDKO.

Ja wiem i o tem, co pan Matroszany kupuje.

WILHELM.

Ja?... Matroszany?... żartujesz. A mnie co po Matroszanach?

MORDKO.

Herszte? co panu po Matroszanach? A pani gdzie będzie mieszkała, jak ją ztąd wirzucą? Jak pan nic nie miał, to ona pana do siebie wzięła. Jak teraz ona nic nie ma, to pan ją do siebie weźmie. I tak pan dobry interes zrobi; bo ona będzie mieszkała w swoim własnym majątku i za to jeszcze panu służyć będzie.

WILHELM.

Et! gadasz aby gadać. Co ja winien, że ona majątek straciła? Niech idzie z Bogiem w świat. Jak sobie posłała, tak się wyśpi. A mnie co do tego?

KLOTYLDA (*do siebie*).

Ach! to okropne.

WILHELM.

Kto jej winien, że nie miała rozumu? Szalała, waryowała, teraz ma. W głowie nic, tylko bale, wizyty, teatru, stroje, podróże do Paryża; a tu panie pracować trzeba. Grosz okrągły, to się toczy, trzeba go trzymać, bo jak się go raz

* Klotyllda, jakkolwiek ma być starsza o lat 20, nie potrzebuje zmieniać twarzy, tylko strój poważniejszy przybiera w tej scenie. (przyp. red.)

wypuści z dłoni, to się panie toczy, toczy i daleko zatoczy. Dobrze jęj tak. Mało jęj mówiłem; ale gdzie tam, to takie dumne, takie zarozumiałe. Niech też zakosztuje, co to bieda.

KLOTYLDA (*przystępuje do Wilhelma*).

Jesteś nikczemnikiem. U nóg moich prosiłeś o przyjęcie do służby, dałam ci kawałek chleba z litości nad twoją biedą; a dziś, gdy jestem w nieszczęściu, zamiast mnie ratować, śmiesz wytykać moje błędy.

WILHELM.

No cóż? co prawda, to prawda.

KLOTYLDA.

Zuchwalcze, nie zapominaj, że jestem twoją panią.

WILHELM

A i pani niech nie zapomina, że mi winna pensją za cały rok.

KLOTYLDA.

Mordku, proszę cię, wypłać mu 600 rubli.

MORDKO.

Proszę jaśnie pani, ja nie mam. Ja teraz wydaję moje córkie Ryfkie za mąż i właśnie ja przyjechałem, coby prosić jaśnie panią o moje 1000 rubli?

KLOTYLDA.

A brylanty — co za nie dają?

MORDKO.

Niech ich febra trzęsie — oni za brylanty jaśnie pani nie chcą dać i 2000 rubli.

KLOTYLDA.

Ależ to okropne! kosztowały mnie samę przeszło 10,000 rubli.

MORDKO.

Nu, cóż robić, proszę jaśnie pani, kiedy nie chcą dać.

KLOTYLDA (*do rządcy*).

Czego pan tu stoisz. Proszę odejść.

WILHELM.

Jak mi pani odda moje pieniądze, to sobie pójdę; a bez pieniędzy ani się ruszę z tego pokoju.

KLOTYLDA.

Ach! to już zawiele (*wybiega*).

SCENA II.

WILHELM I MORDKO.

MORDKO.

Nu, co to jest? poco jaśnie pani takie rzeczy gadać, co pan tu wygadasz?

WILHELM.

Ja wiem dobrze, co mówię. Jak mi odda moje pieniądze i ordynaryę, i za kartofle, com dał na gorzelnię, to mniejsza z tem, zapakuję się i odjadę.

MORDKO.

A ile to będzie wszystkiego?

WILHELM.

3000 rubli z czemś tam.

MORDKO.

3000 rubli? a bez czego?

WILHELM.

Jakto, bez czego?

MORDKO (*śmieje się*).

A te okowite, co to bez akcyzy pan w nocy wysłał do Gombina? Ona tam nie doszła, ona jest jeszcze u nas w lesie.

WILHELM (*przerażony*).

Co ty mówisz? zkąd ty o tem wiesz?

MORDKO.

Zkąd wiem, to wiem, ale pan z przeproszeniem może zamiast do Matroszan pojechać na mróz. Ja tego nie mówię, co tak będzie, ale niech sobie pan idzie. Już ja tak zrobię, co pan będziesz miał swoje pieniądze, ale niech się pan jaśnie pani na oczy nie pokazuje, bo nie dostaniesz ani feniga.

WILHELM (*zafrasowany*).

Kiedy tak mówisz, to odchodzę, ale wyduś tam co, to się podzielimy i będzie z tobą zgoda. (*wychodzi*).

SCENA III.

MORDKO (*sam*).

On okradał długie lata jasną panią, a teraz myśli, że zabierze Matroszany. Niedoczekanie jego — coby było z moją propinacją! Ja pokażę teraz wszystkim, co on tylko na mnie pracował, i jego to samo spotka, co jaśnie panią. Jak tu psiszedł z niczem, tak sobie pójdzie za jaśnie panią.

(*d. c. n.*)

ŻYRAFY AFRYKAŃSKIE.

Mało jest zwierząt tak osobliwój, dziwacznej postaci, jak przedstawione na rysunku naszym żyrafy. Gdy podróżnicy starożytni greccy obaczyli poraz pierwszy te istoty nieznanie sobie wcale, rzeźbione na pomnikach egipskich, nie chcieli wierzyć, aby to były wizerunki zwierząt prawdziwych, uważali je za wytwór wyobraźni. Rzymianie wydziwić się im nie mogli, gdy władcy ich zaczęli sprowadzać żyrafy wraz z innemi afrykańskimi zwierzętami do przedstawień w cyrkach. Poeta Horacy mówił, że zwierzę to jest dziwnem połączeniem pantery i wielbłąda. W rzeczy samój, według opisu Brehma, słynnego przyrodnika, żyrafa ma głowę konia, szyję i plecy wielbłąda, uszy krowy, ogon osła, nogi antylopy, zabarwienie skóry wreszcie przypomina panterę. Piękną nazwać jęj trudno, chociaż głowę ma zgrabą, a oczy łagodne, duże, pełne wyrazu; za to w całej swój postaci, w składzie ciała, w ruchach, żyrafa jest niepospolitą i osobliwą. Najzabawniej wygląda, gdy podnosi coś z ziemi lub wodę pije, Rozciąga wówczas na obie strony przednie nogi i szyję pochyla, póki do ziemi nie dostanie, co niełatwą jest rzeczą przy olbrzymim jęj wzroście. Żyrafy przebywają wyłącznie w Afryce południowej i środkowej, żywią się głównie liśćmi drzew, które ogryzają, co jest dla nich o wiele wygodniejsze, niż schylenie się po trawę. Nazwa ich naukowa jest *camelopardalis girafa*.

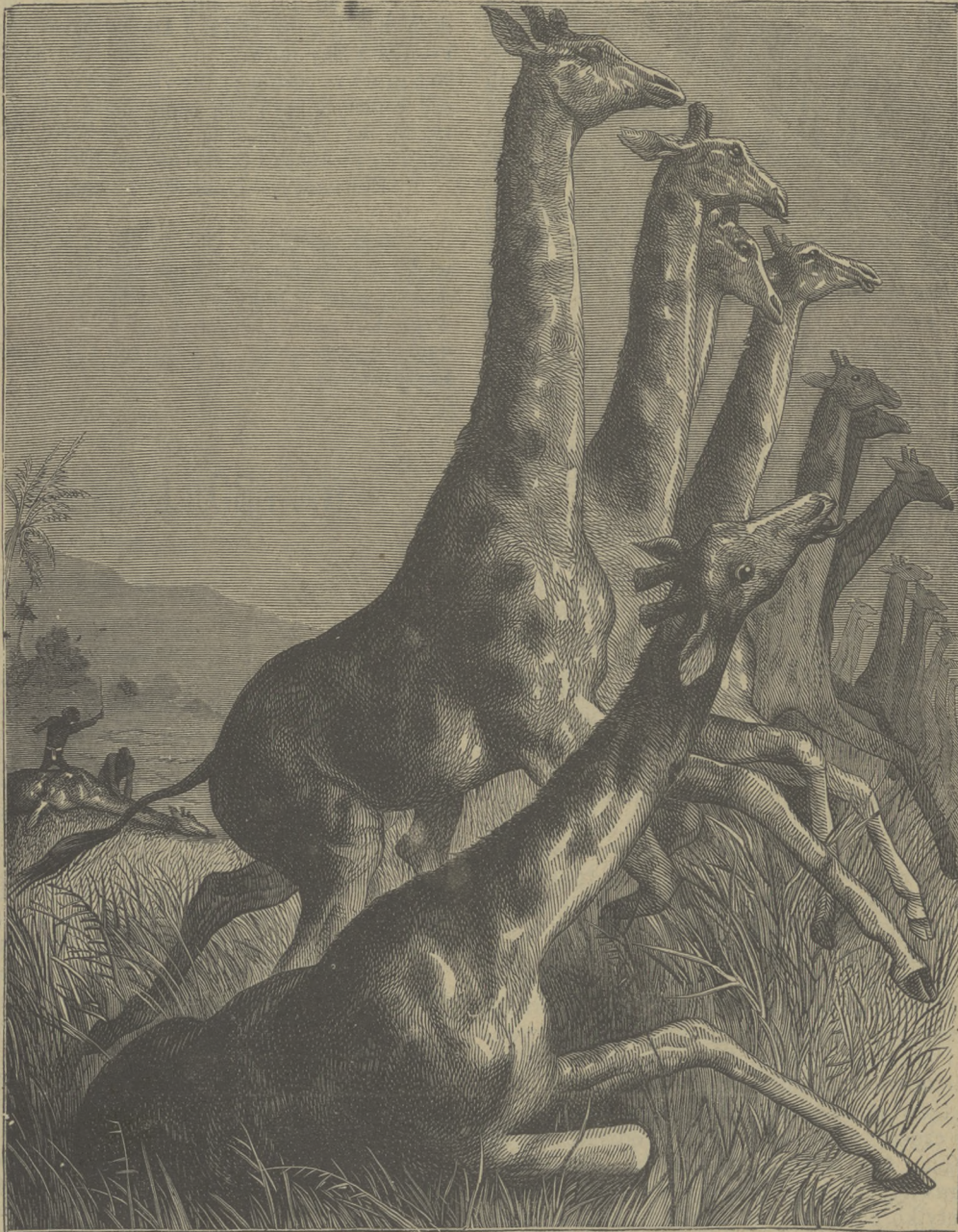
List z Warszawy.

Co wy tam sobie myślicie o mnie, towarzyszeki miłe; tyle życzliwych, serdecznych liścików otrzymałam od was, i ani słówkiem nie odpowiedziałam. Ach, drogie moje! gdyby to odemnie zależało, pisywałabym co tydzień i zdaje mi się, że nie nudziłabym was nigdy, tyle jest zawsze przedmiotów do pogawędki; wy same w listach waszych, czasem nie wiedząc o tem zapewne, podnosicie różne ciekawe kwestye, które zasługują na omówienie i wyjaśnienie. Twój liścik najdawniej rąk moich doszedł, Świtezianko kochana, tobie więc najpierw odpowiadam. Wizerunek twój osóбки, który mi zamiast fotografii przysłałaś, nietylko mnie pochwyił za serce; muszę ci też powiedzieć, że nasza kochana pani z uśmiechem dozwolenia słuchała, gdym jęj ten ustęp twego listu odczytała. „Dzięki Bogu, powiedziała, dobrze to, bardzo dobrze, że dziewczęta nasze wchodzą na tę drogę.” Poleciała mi potem, abym nie zapomniała w najpierwszym liście o tem wspomnieć, gdyż dobry przykład może się przydać. Posłuchajcie więc, wszystkie czytelniczki „Wieczorów”, jak wygląda według własnego opisu Świtezianka, dawna przyjaciółka kochanej pani, a teraz i moja: wyobraź sobie moję postać, nie ze szcztką w rękę, tylko z motyką, albo konewką, podlewającą kapustę i kalafiory; w kapeluszu dużym, pąsowym perkalem przybranym, w koszuli grubój ukraińskiej, w spodnicy swego wyrobu i bosą, bo to zdrowo dla trzewików, gdy się ich ciągle nie nosi, czerwona, tłusta, z szafirowemi oczami i bardzo dużemi blond włosami; oto masz obraz smętnej Świtezianki.

Odpowiem ci szczerze, iż z tego opisu na niewidziane

podobałaś mi się niezmiernie. Mam nadzieję, że kto tak umie zgadzać się z położeniem swoim, kto ma siły i ochotę do pracy, a nie przebiera w niej wcale, niezadługo na niedostatek narzekać przestanie, Powtarzaj sobie zawsze, kochana Świtezianko, te słowa Kochanowskiego: „Ten pan zdaniem mojem, Kto przestał na swoim”.

nem owoców na różne konserwy, o jakim ty marzysz, kochana Jesieni. A nie jest to żadna bogata właścicielka wiosek i ogrodów, lecz osoba niezamożna, która wyuczyła się sztuki przyrządzania najwyborniejszych konfitur, zwłaszcza suchych na sposób kijowski, następnie wynajęła duży sad wraz z mieszkaniem dla siebie na lato i ogromne paki, na-



Żyrafy afrykańskie.

A teraz z kolei przejdę do listu Jesieni. I ty także zamyślasz zawczasu o gospodarstwie wiejskiem, to też i twój liścik odczytałam kochanej pani, która niezmiernie zaimponowała mi twoje pochwała. Trzeba ci wiedzieć, że to jest słaba jej strona, w ostatniej swjej powieści „Dwie Siostry” starała się właśnie zachęcać panienki nasze do pracy gospodarskiej na wsi i ciągle marzy o tem, aby te rady weszły w życie. Opowiedziała mi zaraz przy tej sposobności i tobie donieść kazała, że w gubernii podolskiej osoba dobrze jej znajoma już od lat kilku z wielkiem powodzeniem zajmuje się przerabia-

pełnione słojami i pudełkami konfitur, wysłała koleją do Odesy. Ma też dochody tak znaczne, że może pomagać matce i młodszemu rodzeństwu. Fakt ten, za którego prawdziwość zaręcza kochana pani, powinien cię ucieszyć, miła moja Jesieni, i utwierdzić w postanowieniu.

Rozpisałam się do tych dwóch korespondentek, których liściki poważniejsze zawierały myśli, nie zapomniałam jednak o innych. Ty np., droga Murzynko, czekasz tam pewnie niecierpliwie na nowy pseudonym, który ci obmyśleć obiecałam. Nie braknie mi pomysłów, i niezłych o ile sądzę, wybieraj

więc sama. Ponieważ przezwałaś się Murzynką, więc wnośzę twą, że musisz coś mieć w swęj powierzchowności, co przypomina Afrykę. Czemużbyś więc nie miała przybrać nazwy słynnej królowej Egiptu Kleopatry, lub królowej kartagińskiej Dydony, lub wreszcie bogini egipskiej Izydy. A może wolisz skromniejszą nazwę rośliny afrykańskiej, np. Palma, jeszcze nie mamy Palmy pomiędzy korespondentkami.

Bardzo wam wdzięczna jestem, miłe moje Gałązko Wrzosu z Polesia i Sarneczko z nad Sanu, żeście tak odczuły sercem moje opowiadanie o nędzy warszawskiej i zaraz pośpieszyły z datkami. Nie wyobrażajcie sobie jednak, abym koniecznie od was wymagała wspomaganie tutejszych ubogich, jeśli tam macie ich bliżej i własną ręką, bez pośrednictwa, dobrze czynić możecie. Ach! gdzież to teraz tych ubogich niema, kto zaś z łaski Bożej do zamożniejszych się liczy, powinien o nich ciągle pamiętać. Innym wszystkim życzliwym, których tu wyliczyć niepodobna, zasyłam tysiączne dzięki.

Teraz przecież muszę wam jeszcze, drogie towarzyski ze wsi, donieść coś o Warszawie. Niestety! takie mrozy i zima, że zakatarzona i przeziębiona prawie z domu wyjść nie mogę, a przez okno widzę tylko śnieg i śnieg. Ale lepiej nie rozpisywać się zbyt wiele o śniegu, bo kto wie, nim list mój z druku wyjdzie, może nagle, niespodziewanie, wiosna do nas zawita, przecież zima przez rok cały trwać nie będzie. Pomimo zakatarzenia i fluksyi, zwiedziłam obie wystawy, bo dwie ich urządzono w Warszawie prawie jednocześnie, najpierw tkacką, a potem wkrótce muzyczną. Opowiem wam, o ile potrafię i pamiętam, co tam widziałam ciekawego. Idźmy porządkiem, najprzód na wystawę tkacką.

Napotykałam tam osoby, wzruszające ramionami i potwarzające pogardliwie, „niema na co patrzeć!"; ale to do prawdy niesłusznie, bo mnie się zdaje, że było tam co widzieć. Z wielkiem zajęciem oglądałam wspaniałe dawne wyroby, w szafach oszklonych ułożone, makaty, dywany, pasy słuckie. Lecz jakkolwiek miłuję pamiątki przeszłości, więcej daleko obchodziła mnie na wystawie terażniejszość, a przedewszystkiem praca kobieca. Żałuję, że nie mogę wam szczegółowo opisać wyrobów włóścianek z rozmaitych okolic kraju; były pomiędzy nimi nietylko bardzo pożyteczne, ale prawdziwie ładne i niepospolite. Najwięcej podobały się powszechnie hafty ukraińskich kobiet, tam bowiem roboty te są niezmiernie wydoskonalone. Wszystkie kobiety noszą koszule wyszywane kolorową bawełną lub wełną na rękawach, przy gorsie i u kołnierza. Odświętne te koszule mają rękawy, niezmiernie szerokie, bufiaste, prawie całkowicie pokryte takim haftem. Oprócz tego każda dziewczyna przygotowuje sobie zawczasu na wyprawę ręczniki z rozmaitych tkanin, zawsze domowych, przepysznie haftowane kolorami, a nawet złotem i srebrem. Te ręczniki mają ważną rolę odgrywającą na zaręczynach i weselach, służą do przykrywania stołu, przepasują się także niemi druźbowie i pan młody.

Skromniejsze tkaniny wełniane, na ubrania męzkie i kobiece, po większej części w paski i kratki, odznaczają się szczególną trwałością, tak samego materiału, jak i barw. Miło pomyśleć doprawdy, jak to ci mieszkający wiejscy umieją sobie radzić: nietylko pokarmy mają własnego gospodarstwa i poprzestają na nich, sól zaledwie kupując w mieście, ale oto pracowita gospodyni na domowym ręcznym warsztaku może wyrobić materiały na ubranie własne i całej rodziny. Szczęśliwy, kto umie przestać na małym!

Zaraz mi też przyszło na myśl, czemużby to mieszkanki wiejskie nie włóścianki, zamożniejsze i mniej zamożne, nie umiały także w tęgą gałąź przemysłu szukać zajęcia i korzyści? I wnet znalazłam odpowiedź na pytanie moje; pani Emilia Korsakowa przysłała na wystawę wyroby z wełny własnych owiec, uprzedzonej, urządzonej i utkanęj na warsztatach ręcznych w domu. Są to tkaniny nadzwyczaj trwałe, nie płowieją, bo wełna ma kolor naturalny, biały, szary i czarny. Jedne podobne do korcików, grube, ciepłe, wybornie służyć mogą na ubranie dla męzczyzn i chłopców, inne cieniutkie, białe, przerabiane jedwabiem, na szlafroczyki damskie i sukienki dla panienek przewyborne. Pani Korsakowa prowa-

dzi ten przemysł na większą skalę i ze sprzedaży swoich tkanin ma rocznie kilkaset rubli czystego dochodu. O, towarzyski kochane! Zawczasu od lat najmłodszych uczynajmy wszystkie myśleć o tem, aby sobie obrać jakieś pożyteczne zajęcie, wydoskonalic się w niem o ile możności i potem, po ukończeniu edukacyi, zamiast beczynnie czas pędzić, nudzić się i przez okno wyglądać gości, rozpocząć na własną rękę przy pomocy i radzie rodziców pracę, dającą zarobek i cenniejsze jeszcze przeświadczenie, że się jest pożytecznym członkiem społeczeństwa, jednostką samodzielną i czynną.

Wy mi nie weźmiecie za złe, że tak poważne wypowiadam myśli, nieprawdaż? Dziś w tych czasach ciężkich, o których wszyscy mówią, bo je wszyscy odczuwają, młodzież nawet musi wcześniej przywykać myśleć i mówić poważnie. Muszę kończyć, wystawę muzyczną odkładając do następnego tygodnia; nic na tem nie stracie, pójdę ją raz jeszcze obejrzyć uważnie i postaram się dokładnie opisać.

Polecam się życzliwości waszej, serdeczna przyjaciółka
Gołąbka pocztowa.

Post scriptum. Nie bierzcie mi za złe, że tak długo odwlekam z ogłoszeniem sprawozdania z zadania konkursowego. Już je mam w pogotowiu od tygodnia, ale redakcja odkłada wydrukowanie, ażeby porządek z temi zadaniami zaprowadzić, to jest, ażeby w pewnych odstępach jedne po drugich następowały.

NA ZBÓJECKIM OSTROWIU

powieść

przez M. Zielińską.

(Dalszy ciąg).

Jan powstał i cicho postąpiwszy krok ku rozbójnikowi, wyciągnął obie ręce, aby rzucić się na niego, gdy wtem ten, nie odwracając się, machnął lewą ręką w tył, Jan zachwiał się i byłby wpadł do wody, gdyby parobczak, odwracając się teraz nagle, nie chwycił go w sam czas za kark i nie posadził.

— Z tyłu napadać to brzydko!.. — rzekł ponuro i patrząc nie na Jana, lecz na Francuza.

— No, teraz jesteśmy zgubieni! — szepnął Ernest, wierzący święcie, że ma do czynienia z rozbójnikami. Ale słowa te do reszty odjęły rozum Francuzowi.

Myśl, że Ernest zginie, do rozpaczki doprowadziła starogo:

— A więc nie mamy nic do stracenia, i w obronie własnego życia... — zawołał, i wstając, a wrywając rewolwer z kieszeni, nacisnął cyngiel, przyłożywszy lułę prawie do piersi rozbójnika... Ernest i Jan krzyknęli przerażeni. Ale młody parobczak stał niewzruszony.

— Ej, *grand-papa*, daj temu pokój, żebyś nie żałował!.. — rzekł zwolna, patrząc ze smutnym uśmiechem w oczy staremu, ale ten już poprawił tymczasem z drugiej lufy i dopiero gdy i to nie pomagało, osłupiały, przerażony, drżąc osunął się i siadł bezsilnie w głębi łodzi, oglądając swoją broń niezawodną, wyprobowaną nawet w pojedynkach:

VII.

— Ja sam nabiłem wszystkie trzy rewolwery dziś rano... a ten nienabity! — rzekł Orchard patrząc po swych towarzyszach. Na te słowa Jan wyjął broń swoją i mierząc w górę nacisnął cyngiel... naprzódo, to samo pokazało się z bronią Ernesta. Młody Poleszuk stał nieruchomy, patrząc z wpeł żartobliwym, wpeł ironicznym wyrazem na wystraszonych podróżnych, zajętych opatrywaniem owęj broni, aż nieruchomość jego zwróciła ich uwagę, jeden, drugi i trzeci podnieśli głowy i za pierwszym w wyraziste oczy parobczaka spojrzaniem, zrozumieli od razu wszystko...

— Ach!.. — szepnął ten i ów i każdemu w oczach stanęła owa niedługa chwila w zajeździe parę godzin temu, w czasie której młody Poleszuk przypadkiem pozostał sam jeden w zajmowanej przez nich izbie, wśród porzrzucanych różnych przyborów podróżnych i w obec roztwartej szkatuły z tyłko co nabitemi pistoletami.

— Ty powykrecałeś naboje... tam w zajeździe jeszcze?.. — rzekł w pół twierdząc, w pół pytając Ernest, dziwnie czegoś zapytany nań, i któremu nie wiedzieć dla czego przypomniało się, że Poleszuk wymówił przed chwilą dziwny w jego ustach wyraz „grand papa”. Parobczak lekko skłonił głowę, potem z wolna sięgając do kieszeni sukmany, a patrząc w oczy Ernesta, dodał:

— Jednak jeżelibyś ty, paniczu, uważał, że źle zrobiłem, to można rzecz naprawić... wy nabici podobno nie macie czem, bo szkatuła popłynęła z powozem do Prypeci, ale ja mam niezłą broń nabitą, i mogę ci nią służyć... inną nie mam przy sobie.

I podał mu doskonały o sześciu strzałach rewolwer. Ernest wyciągnął rękę i cofnął ją zakłopotany, oczy dwóch młodych chłopców spotkały się i szczególniejszy uśmiech ukazał się na ustach obu, gdy wtem Orchard skwapliwie sięgnął pomiędzy nich po ową broń nabitą, lecz ruch ten zdecydował nagle tego, który wahał się jęj przyjąć; Ernest zwałym ruchem ubiegł dziadka i prędko schował groźny rewolwer do kieszeni, zagłębiając się na siedzeniu tak, jakby mu tam bardzo wygodnie było. Parobczak w téjże chwili odwrócił się i potężnym ruchem wiosła wstrzymał łódź, drgającą jak żywa pod jego przemocą i naciskiem fal, sprzeciwiających się kierunkowi, jaki on jęj nadawał. Chwilę drżała tak, aż uległa nareszcie jemu, i z wolna, bo ukośnie, pracowicie zaczęła sunąć w poprzek rzeki do brzegu przeciwnego temu, z którego podróźni przybyli. Młody Poleszuk pracował teraz wiosłami potężnie, co widząc Jan, ujął także zapasne wiosło, ale musiał fałszywie czynić niem ruchy, bo Poleszuk zaraz się nań obejrzał i ruchem głowy kazał zaprzestać. Wtedy Ernest sądząc, że lepiej od Jana wywiąże się z tego łatwego zadania, ujął także za wiosło, ale z wielkim swem zdziwieniem wcale prawie poruszać niem nie mógł, choć to on przecież należał do eleganckiego „yacht klubu” modnego i miał nieraz wiosła w rękę; lecz wiosła tutejsze były jakieś inne... Stary Francuz, ostentacyjnie nieruchomy, z rękami na krzyż założonymi siedział w głębi łodzi zrozpaczony, wzruszając tylko ramionami na usiłowania swych towarzyszy, żądnych pomagać rozbójnikowi w wiezieniu ich... gdzie?... Tymczasem łódka dotknęła zielonego wybrzeża i pod wpływem ostatniego pchnięcia wiosła, zaryła się przodem w dziwnie miękki grunt tego wybrzeża. Poleszuk, wszczepiwszy umiejętne wiosło pomiędzy dwa głązy olbrzymie, ale zaledwo wyglądające z nadbrzeżnej trawy, przywiązał do niego łódkę.

— Wy, Janie — rzekł, zwracając się doń — wiecie, co są nasze pińskie błota i ostrowy i co jest straszna, powolna śmierć w błotach, pochłaniających tego, kto nogą na nie stąpi, bez ratunku, choćby wobec dziesięciu ludzi gotowych nieść ratunek ten, niemożliwy. Wy to wiecie? A więc powiedz to swoim panom i pilnuj ich, bo oto przed nami te zielone łąki są to jedne z najmniejbezpieczniejszych błot tutejszych, a my przejeść je musimy, aby dostać się do téj kępy brzoź i żorścieli ot tam, bo to jest jedyny najbliższy ostrów... No, w drogę, za mną krok w krok, kto zginąć nie chce!

— Ostrów? — powtórzył Orchard, pochwywszy znajome brzmienie — jeżeli tam jest Zbójecki Ostrów, to lepiej gińmy odrazu, rzucając się w tę rzekę, niżeli mamy dobrowolnie leżeć w ręce rozbójników!

— Rzeka jest tutaj płytką, a woda zimna dla delikatnych Francuzów — odparł parobczak niedbale, nie czekając na ten raz, aby mu wytłómaczono mowę Francuza — zaś wobec tych łąk przed nami niechaj nikt nie waży się lekko-myślnie śmierci wyzywać wobec jednego z jęj najstraszliwszych majestatów!... Trzęsawisko nie polyka odrazu, ale nie wypuszcza ofiary nigdy.

Ponura groza ostatnich tych słów wstrząsnęła ludźmi, Francuz zbłądł i zamilkł. Młody Poleszuk wyskoczył na

zielony brzeg, pociągając za sobą Ernesta, pochwywszy go za rękę:

— Stój tu, paniczu — powiedział, postawiwszy go na łące — i nie rusz się z miejsca; ty będziesz szedł zaraz ze mną.

Pomógł troskliwie Orchardowi wyjść z łodzi, a Jan, wyszedłszy także, blady jak płótno, rozglądał się po obszarze, jakby coś sobie przypominał.

— Paniczu, panie — szeptał, składając ręce — na imię Boskie, bądźcie posłuszni i uważni... o! przypominam teraz; tamte brzozy i żorściel, to nie Zbójecki Ostrów jeszcze, tylko Ostrówek... to tu gdzieś przed czterdziestu laty powóz w cztery konie, zjehawszy przypadkiem z brodu, zatonął z państwem jakimś razem w trzęsawisku...

— Za mną! — zawołał Poleszuk i silnie ująwszy Ernesta pod ramię, ruszył naprzód przez trawy i zielska, dochodzące mu aż do pasa.

Chwilę szli w milczeniu pełnem grozy, bo podróżnym zdawało się za każdym stąpnieniem, że miękki w istocie grunt zapada się pod ich stopami. Wkrótce jednakże zaczęto z konieczności oswajać się z przykrem uczuciem. Słońce świetnie pałało, ptactwo bujało gęsto, jakby w olbrzymiej klatce, trącając ludzi skrzydłami w rajskiem zaufaniu, szczególniejsza woń orzeźwiająca, wydzielana z traw i ziół miejscowych, przepelniała powietrze, a cisza, zawsze ta sama, uroczysta, bezdenna cisza, dziwnie kojąco wpływać musiała na ducha, choćby najbardziej wzburzonego. Samo to dziwne zresztą brodzenie bezustanne w niesłuchanie bujnej roślinności, ta kąpiel w pachnącej zieleni lekko chłodnej w dniu upalnym, miała pewien powab niezwykły, jak niezwyklemi dla podróżnych były barwiące ją kwiaty. I znowu trzeba było przyznać w milczeniu, pojąc się urokiem takiego otoczenia, że było to piękne. Ale trudno było nie uczuć zarazem, że najbardziej dźwięcznym tonem w téj harmonii piękna był człowiek, ten człowiek tutejszy, zżyty z otaczającą go przyrodą, zadumany, poważny a swobodny, jak ona, świadomy siły swojej i przeto spokojny i cichy. Po chwili wzruszenia a potem oswojenia z nowymi wrażeniami, oczy i myśli trzech podróżnych zwróciły się też znowu na tego człowieka. Niewiedzieć czemu, może skutkiem wrodzonej ludzkiej płochości, najbardziej błaha dotycząca tego człowieka okoliczność przyszła im na myśl właśnie, a to było przypuszczenie, że młody Poleszuk umie po francuzku, co już dotąd po kilka razy dawało się podejrzywać.

— Nic innego, tylko ten chłopak tak młody jeszcze musi pochodzić z jakiejś znakomitej rodziny i musiał otrzymać wyższe arystokratyczne wychowanie, skoro po francuzku umieć się zdaje — myślał pan Orchard z naiwną pychą narodową, właściwą Francuzom — tylko młodzieńcze jakieś swawole, zbytki i wybryki jakieś straszliwe wepchnęły go w przepaść występku i zbrodni!

— Ha, to widać, że teraz na Polesiu i na Pińszczyźnie chłopci mówią po francuzku; a no i cóż w tem dziwnego, kiedy przecież i we Francji wszyscy chłopci po francuzku umieją! — tłómaczył sobie ów fenomen Jan, Poleszuk zfrancuziały.

Ernest nie usiłował sobie wcale tłómaczyć fenomenu, a to właśnie dlatego, że zbardzo był Poleszukiem zajęty; prosto nie miał czasu myśleć i rozumować i gdy tylko przeszły pierwsze wrażenia, wywołane zmianą sceny, Ernest zapytał:

— Jeżeli chodzić tędy jest tak niebezpiecznie, to pocóż idziemy?

— Ażeby dostać się na Ostrów. Niema innej drogi. A raczej wszystkie są takie.

— Dlaczegoż koniecznie mamy dostać się na ten Ostrów? Czy może na nim znajduje się ten klasztor z księdzem Jackiem, do którego obiecałeś nas zaprowadzić?

Zapytany w ten sposób chłopak spojrzął z boku na pytającego i uśmiechnęli się oba. Rzecz dziwna, że im dłużej Ernest patrzył w oczy rozbójnika, tem mniej go się obawiał, a straszna awantura, w jaką popadli podróźni na Polesiu, chociaż przeraziła go na początku tak samo, jak Orchard, teraz przecież nie zdawała się straszna, zaciekawiała go

raczej: może wielka cisza przyrody wpływała tak uspakajająco na nerwy młodego wychowanka paryzkiego.

— Prowadziłem do klasztoru — rzekł Poleszuk, spuszczać oczy na trawy przed sobą — ale gdyście kazali koniecznie wracać...

— Widząc, że klasztor został o milę za nami... — bąknął Ernest.

— Przystałem prowadzić — mówił Poleszuk, jakby niedosłyszawszy — a gdy wtem przypadek z końmi zaszedł, tedy podałem wam łódź, bo cóż miałem zrobić?

— Tak, a potem prąd uniósł tę łódź; już ja widzę, że w tem wszsztkiem nie było twój woli, ale teraz przez te trawy prowadzisz nas z własnej woli, więc powiedz, dlaczego to czynisz? zwłaszcza, kiedy tu jest tak niebezpiecznie?

— Najprzód dla tych, którzy idą ze mną, niema tu niebezpieczeństwa żadnego, bo ja wszysztkie drogi i brody znam; a potem muszę was przecież zaprowadzić gdziekolwiek, gdziebyście jakbądź mogli odpocząć i posilić się, bo inaczej twój dziadekby się zagłodził. A ten Ostrówek jest najbliższy.

— A, to prawda! Ja nawet zapomniałem, żeśmy od śniadania nic nie jedli — przyznał Paryżanin, oglądając się niespokojnie na Orcharda. — Czy tam jest jaka oberża na tym Ostrowiu?

— Oberża? tam niema nic, ani ludzi nawet.

— A więc cóż tam robić będziemy?

— To, co ja tam całemi tygodniami często robie.

— Sam jeden?

— Sam jeden. Stój, teraz musimy iść tędy.

— Czemuż skręcasz nagle w bok, kiedy Ostrówek jest nawprost nas?

— Przecież muszę iść za brodem, nawprost jest przepaść błotnista bezdenna.

— Ale jakimże sposobem zgadujesz, gdzie masz iść, kiedy brody i przepaście, wszystko porośnięte jest zielenią?

— Przypatrz się tej zieleni: czyliż nie widzisz na niej zdaleka różnych ciemniejszych i jaśniejszych lub żółciejszych smug i plam? Otóż każdy taki odcień traw i chwastów ma swoją przyczynę w gatunku ziemi czy błota, na jakich wzrasta, a te się nie zmieniają, więc w rzeczywistości te smugi są dla znajdującego się na nich prawdziwemi drożynami; po barwie zieleni kierują się idąc.

— Trudne to, jednak możliwe. Ale zimną? Gdy trawy niema?

— To jeszcze łatwiej, bo w miarę jak trawy przestają wyrastać tak bujnie, zostają też wydeptane i ugniatane trochę wozami, gdy tymczasem miejsca, po których się nie chodzi, pozostają wywyższone, co pod śniegiem jeszcze się wyraźniejszym staje. No, a teraz pójdź tędy przez żorściele...

— Te krzaki zowią się żorściele?

— Tak; otóż stoimy na Ostrówku: witam cię na twojej ziemi!... boć na twoich błotach trudno cię było jakoś powitać.

— Co? więc te błota moje?

— Zacząwszy od rzeki. Tak.

— Och! uf! Czy tu ziemia, czy także przepaść? — spytał Orchard, upadając na pień obalony.

— Ziemia, i doskonała, urodzajna ziemia. Jest gawęda między ludźmi, że za niezmiernie starożytnych czasów, kiedy obszary te stanowiły jedno morze, zwane Pińskiem, a dzisiejsze ostrowy były prawdziwemi na tem morzu wyspami, rozbójnicy morscy, przybywszy tu na ogromnych łodziach długich a wązkich, z dalekich krain, osiedli i obwarowali się

na Zbójeckim Ostrowiu, ot tam, gdzie ciemne szczyty drzew rysują się na niebie; a wtedy Ostrówek Zbójecki, ten, na którym obecnie się znajdujemy, stanowił niby strażnicę głównego Ostrowia, był przednią strażą zbójecką. Ztąd rozbójnicy wypatrywali okręty, płynące po Pińskim morzu i umówionemi znakami dawali znać o tem na Zbójecki Ostrów, a potem wypadłszy na swoich zwinnych łodziach, otaczali ciężkie bogate okręty i rabowali. Ale jeżeli twój dziadzio już odpoczął, to idźmy dalej, bo słońce zniża się zaczyna.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Od Jakóbinki dla Biedronki warszawskiej).

Pierwsze i drugie każdy cierpieć musi,
Kiedy się na co niezdrowego skusi.
Trzecia i czwarta jest ludzi udziałem,
Zdobyta zwykle z trudem niemałym,
A wszystko imię nadane kobiecie,
Pewnie już teraz łatwo odgadniecie.

Łamigłówka zgłoskowa (Tyrolka z nad Adygi).

Z następujących zgłosek: *bú—cie—cko—da—do—hoj—
X—ja—le—na—no—o—pio—tang—ron—trzew—zór—ulo—*
żyć wyrazy: 1. Ptak. 2. Starożytna nazwa kraju słynnego w historii. 3. Roślina zwrotnikowa. 4. Zjawisko elektryczne. 5. Przysłówek. 6. Król Babilonu. Początkowe i końcowe litery, czytane od góry do dołu, utworzą nazwisko dwóch znakomitych kompozytorów muzycznych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11 go.

Zadania konikowego:

Na dolinie, na zielonej
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płótem ogrodzony,
Na zakręcie brzoze białą;
Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole,
Poza wzgórzem srebrna struga,
A za strugą szczerze pole.

T. L.

Czarodziejskiej głoski:

Tą głoską jest B. wyrazy będą: belka—blin—bera—
kobza—babki—bale—brak—robić—kubrak—obraz—bej—
barki—strzelba—budka—brudy—Bona—bryś—baron—
branka—bosa—brama—brogil—korba—bas.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TRĘŚĆ: Do rycerza, wiersz p. Gabryełę Jasienską (z drzew.) — Wędrówka po kościołach p. Z. Bukowiecką. — Klotylda, komedyjka w 4-ch obrazach p. Ignacego Poraja. — Żyrafy afrykańskie (z drzew.) — List z Warszawy. — Na zbójeckim Ostrowiu, powieść p. M. Zielińską. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek. Pudel w hamaku, (z drzew.) — Litościwa Andzia, wierszyk p. A. Z. — Bajeczka o kozie, p. M. Weryho. — Co klekoce bocian, p. Z. M. — Kwaśna Florcia, opowiedziała Marya z Grabowa. — Łami-główka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.



Pudel w hamaku.

PUDEL W HAMAKU.

Co to za figlarka z tój Helenki! Patrzcie, co zrobiła pocziwym pudlem Bufciem, który jest doprawdy czarno zanadto powolny i posłuszny. W ogrodzie zawieszono hamak, lecz rzadko kto w nim się sadowi, bo wszyscy w domu dzięki Bogu są zdrowi. Więc Helence przybito do głowy przybrać pocziwego Bufcia w czepek koronkami i z różową wstążką, potem mu kazała wskoczyć do hamaku, przykryła go ślicznie kołderką, a białe psisko wyobraża sobie, że to jest jego obowiązkiem leżeć tam spokojnie. Panienska uszczęśliwiona rzuciła pelusz w trawę i pobiegła sprowadzić braci i nauczycielkę, ażeby jój mądry koncept podziwiano. Podziwiać może i nie będą, bo Helenka znana jest w całym domu głow, ale że się uśmieją, to pewna.

Litościwa Andzia.

Raz Anusia mówi mamie:
— Mamo, dziadek stoi w bramie,
Stary, siwy, biedny, chory,
Nic dziś nie jadł do tój pory,
Ach, cóż to za bieda sroga!
Daj mu co, mateczko droga.
Mama dała wnet trzy grosze:
— Naści, biedny dziadku, proszę!
Powiedziała Andzia mała
I z pieniążkiem ciastko dała,

Które mama na śniadanie,
Za prześliczne obrębianie
Dała małej swój córeczce;
Ale miliej jest Aneczce
Żywić głodnych, niż jeść samój,
Bo ona ma serce mamy.

A. Z.

BAJECZKA O KOZIE.

Stała we wsi uboga chałupka. W chałupce mieszkała stara babuleńka z małemi wnuczkami. Miała jeszcze babka białą kozę, a kózka ta miała takie duże rogi, a jak była zła, to bodła niemi.

Babuleńka karmiła kozę trawką lub sianem i poila wodą. Kózka za to jój wnuczkom mleczko dawała.

Dzieci lubity bardzo mleczko. Czasem babcia ugotowała kaszki na mleczku i ta im także dobrze smakowała.

Pewnego razu przynosi babcia do stajenki siana. Patrzy, a kózki niema w stajence. Biegnie na podwórze i tam niema kózki.

Zawołała na dzieci:

— Biegnijcie, dzieciatki, szukajcie, kózka nam zginęła!

Dzieci pobiegły na pole szukać kozy.

Szukały po lesie, i tam jój nie było.

Poszła babcia do sąsiada zapytać, czy nie widział przypadkiem kozy.

Nie widział.

Wraca babuleńka i płacze:

— Co ja pocznę nieszczęśliwa, czem karmić będę moje wnuczki! z czem kaszy ugotuję! Zginęła mi koza! zginęła!

Spotyka babcia dwóch wieśniaków i pyta:

— Nie widzieliście czasem mojej kozy?

— A gdzie mieszkasz, babuleńko? — pytają wieśniacy.

— Tutaj ot w tej chatce — odpowiedziała babcia i pokazała im ręką na swą chałupkę.

— A czyż nie widzisz, gdzie twoja koza?

Koza stała na dachu chatki i patrzyła na drogę, a nikt jęj dotąd nie spostrzegł.

Roześmieli się wieśniacy, a babcia była rada, nieźmiernie rada znalezionej kózce. Zaraz babcia zwołała dzieci. Dzieci śmiały się, biegały i wołały na kózkę.

Ale kózka zejść nie chciała i została tam do wieczora. Wieczorem przyszedł z pola dziadzio, wszedł na dach i ściągnął kozę za rogi.

M. Weryho.

CO KLEKOCE BOCIAN.

— Klekot! klekot! — klekoce bocian na szczycie stodoły. — Jak się macie ludziska! Oto już przyleciałem do was, chociaż tam na zimowem mieszkaniu bardzo mi było wygodnie, a nawet miałem tam wyborne żabki i bardzo smaczne wężyki, jakich tu u was wcale niema; mam nadzieję jednak, że i tutejsze teraz smakować mi będą, gdy ich dawno nie kosztowałem. Ciepło też było, rozkosznie na zimowem mieszkaniu, ale mimo to, jak widzicie, śpieszyłem się do was, ażeby was pocieszyć dobrą wieścią: Oto Wiosna, śliczna młoda panienska, bardzo bogata i zawsze precudownie wystrojona, chociaż skromnie, bo tylko w kwiatki, liście i trawy, przybywa tu do was na pewno! Szkoda tylko, że niedługo bawić będzie, bo musi i do innych krajów w odwiedziny śpieszyć.

Nie smućcie się wszakże jęj odjazdem, bo zaraz po nięj przybędzie do was jęj rodzony tatuś, jaśnie wielmożny wielki pan Lato, który obsypie was podarunkami, ziarnem, owocem, nabiałem, jarzynami, ho ho, trudno nawet wyliczyć wszystkich darów, jakie on dla was wiezie, ale, pamiętajcie o tem, że dostaniecie je wtedy tylko, jeżeli się przekonają, żeście na nie pracowitością poprzednią zasłużyli.

Gdy pan Lato odjedzie dalej w świat, przyjedzie znów do was rodzona ciocia panny Wiosny, pani Jesień i także naprzywozi wam różnych darów, których pan Lato zabrać od razu nie zdołał. Jest to bardzo dobra kobiecina, ta pani Jesień, ale jak po nięj będzie miała przybyć matula tęj całej rodziny, pani Zima, to już dajcie, ale mnie tu wówczas nie będzie, bo trzeba wam wiedzieć, że ja tak tęj baby nie cierpię, jak... jak... nie wiem kogo. Wolałbym już nareszcie ze psem się spotkać, jak z tą sekutnicą, której nie chcę wcale widzieć na oczy.

Zatem, nie miejcie do mnie żalu, proszę, za to, ale

jak tylko poczuję, iż jęj odwiedziny nadejść mają, to pomimo że was serdecznie kocham, wezmę nogi za pas i skrzydła rozwinę, umówię się z krewniakami, aby podołować na wspólny koszt, i... wio!..! tam, gdzie Zima niema, do widzenia z wami.

Z. M.

KWAŚNA FLORCJA.

Opowiedziała **Marya z Grabowa,**

(Dalszy ciąg).

— Tak, tak — odpowiada doktor — miałem szkodę, za dotknięciem czuję, że musi być ból w żołądku, łyżeczka oleju, dyeta przez cały dzień, a będzie panienka zdrowa jak ryba.

— Mielishmy iść na spacer — odzywa się ciocia — a potem do mojej znajomej, którą tu spotkałam, na widzenie; czy Florcję zostawić w domu?

— Stanowczo! wcześniej położyć i niech wypoczą, to ta mała niedyspozycya natychmiast przejdzie, a już z rana będę — odpowiedział doktor.

Rada nie rada Florcja została w domu pod opieką Nozdrzewskiej, która uspiwszy Wandeczkę, odmawiała pacierze, nie zważając na Florcję. O dziesiątej dopiero powróciły dzieci. Ach! jakże się dobrze bawiły! U pani zastały troje rówieśników, a że te dzieci już dwóch tygodni bawiły w Ciechocinku, miały więc o znajomych, których zaprosiły, aby gości z nowymi warzyskami zapoznać. Były więc gry, suty podwieczorki i kolacya, pocziwa Jadwinia przyniosła w kieszeni cukierek dla Florci, ale ciocia dać nie pozwoliła aż do wizycie doktora, a Florci po klejku bardzo się podobało. Z jaką też wesołą miną powitała na drugi dzień doktora i choć z nięj żartował i przypominał historię baby, grzecznie odpowiadała i śmiała się razem z innymi dziećmi.

Przez następne dni kilka wstawiała bez grymasu rano, piła słoną, niesmaczną ciechocińską wodę, kąpała się grzecznie, tak, że ją wszyscy chwalili i na wzór wiali innym dzieciom, które nie zważając na to, że woda była dla zdrowia, płakały i wypluwały wodę na ziemię.

Po obiedzie dzieci zwykle wychodziły na spacer pod tężnię, miejsce zebrania osób na kuracyę przyjeżdżających; wtedy brały na siebie jasne sukienki, ładne parasolki i kapelusze. Jednego dnia od rana powietrze było duszne, upał straszny.

— Pewno wieczorem będzie burza — zauważyła ciocia — weźcie płaszczyki i podróżne kapelusze, aby w razie przypadek deszczu nie narazić się na szkodę. Florcja zdejdm ten niebieski kapelusik.

— Jakto, ciociu? ja mam iść w tym starym parasolku podróżnym? — woła oburzona Florcja. — Matko wyraźnie mi powiedziała: weź go tylko na drogę, bo Ciechocinek jest już za lichey.

— Proszę pani — odzywa się panna Bronisława — zawsze przed deszczem zdążymy powrócić; od przyjazdu padku weźmiemy parasole.

To też jak tylko niebo zaczęło się chmurzyć i wiatr się zerwał, panna Bronisława kazała dzieciom włożyć płaszczyki, Jadwisię wzięła za rękę, Bolesiu dawszy parasol, poleciła prowadzić Florcię. Boles, figlarz wielki, dumny, że nad młodszą siostrzyczką rozciąga opiekę, z wykwintnemi ruchami, tak jak widział u starszych osób, posunął się do niej, mówiąc:

— Służę pani dobrodziejce, miło mi jest, że mam zaszczyt podać jęj ramię.

Gdy to wymówił z pompatycznym gestem, tak był zabawny, że obecne osoby parsknęły śmiechem. Florcia, jakby ją pszczoła ukłuła żądłem, tak odskoczyła obrazona od Bolesia.

— Już ja wolę iść obok ciebie, niż z tobą pod rękę — zdecydowała.

— Skoro pani dobrodziejce moja osoba się nie podoba, to niech się stanie podług jęj życzenia.

— Dzieci, bez sprzeczek! — woła panna Bronisława — już duże krople deszczu zaczynają padać. Bolesiu, nasuń dobrze parasol na kapelusz Florci, i pośpieszajcie do domu.

Boles, stosując się do rozkazu, przybliżył się do Florci i nadeptuje niechcący na nogę.

— Aj! depecz mnie, niezgrabny!

— Przepraszam najmocniej — submituje się kawaler — czyżby pani dobrodziejka cierpiała na odciski, jak stara Nozdrzewska? Z powrotem poproszę ją o plaster, to się zgoi.

— Wolę sto razy moknąć, niż iść z tobą, niegrzeczniku! — woła Florcia i odskakuje od niego. Z parasola strumień wody leje się na odkryty kapelusz i spływa aż za kołnierz poszkodowanej. Florcia płacze, wykrzykuje na Bolesia, ten żartami odpowiada i tak nareszcie dostają się do domu.

— Ach! moje dzieci — woła ciocia, oczekująca na progu mieszkania — czyście tylko nie zmokły? Co to? Florcia zapłakana, kapelusz zniszczony?

— A to już z własnej winy — tłumaczy panna Bronisława — kazałam jęj iść pod rękę z Bolesiem, ale się ciągle sprzeczały; ja byłam zajęta Jadwisią, nie mogłam na nich zwracać uwagi.

— To Boles ciągle mi dokuczał — lamentuje Florcia.

— Już to wzajemnie, proszę pani, prawda, że on sobie żartował, ale nie było się o co obrażać i od parasola usuwać.

— Zawiniliście oboje — odzywa się ciocia — Florcia sama dostatecznie się ukarała, bo straciła piękny kapelusz, a tobie, czy teraz nie przykro, żeś przez swoją złośliwość naraził siostrę cioteczną na szkodę? Mama jęj zmartwi się, jak się dowie, że zamiast mieć nad nią opiekę, jako starszy brat, jeszcze jęj dokuczałeś.

Boles się zarumienił, łezki stanęły mu w oczach; zbliżył się do Florci i pocałował ją, mówiąc:

— Przepraszam cię, Florciu.

Ona jednak była tak zmartwiona stratą swego kapelusza, że wciąż płakała, i chcąc wszystkich ukarać, podziękowała za kolacyę, chociaż kurczęta z kompotem bardzo smakowicie wyglądały, a po przechadzce jeść jęj się chciało. Dobra ciocia, uwzględniając jęj smutek,

wzięła kapelusz, kazała go wysuszyć, na drugi dzień kupiła granatowej wstążki i na nowo go przybrała; nie był on jednak tak świetny, jak poprzedni, przykro się też Florci zrobiło, a najprzykrzej jęj było słyszeć to, co Nozdrzewska mówiła do panny Bronisławy:

— A też nasza pani potrzebnie narobiła sobie kłopotu z cudzym dzieciakiem! Złe to, opryskliwe, ani się do niej odezwać, zaraz się napuszy, jak sowa, jeszcze nieraz nasze dzieci za nią dostają burę.

— Bo pani zanadto dla niej pobłażliwa — odrzekła panna Bronisława — już jaby jęj wypędziła muchy z nosa.

Wieczorem, położywszy się do łóżka, serdecznie Florcia płakała i pragnęła, żeby to już jaknajprędzej mama powróciła. Ale mama właśnie pisała, że wody i kąpiele błotne w Maryenbadzie bardzo jęj zdrowie polepszyły, że z Mani wielką ma pomoc, myśli o rzeczach, zbiera, pakuje, pomaga mamusi przy ubieraniu i tak jest troskliwa, jak dorosła osoba. Pisała także mama osobny liścik do Florci, upominając, żeby była grzeczna i uprzejma dla wszystkich.

Dzieci brały lekcyę tańców i gimnastyki, co im się bardzo podobało. Co to było wrzawy i śmiechu, kiedy ktoś niezgrabny wywinął koziołka, albo nie w takt zatańczył mazurka; Florcia i Boles byli dosyć zręczni, ale najwięcej zadziwiał wszystkich jeden chłopczyk z Warszawy, imieniem Ludwiś. Co prawda nic w tem nie było dziwnego, bo przez całą zimę brał lekcyę gimnastyki, a dosyć się wytańczył na dziecinnych balikach. Jedynaczek rozpieszczony, bardzo był o sobie zarozumiały i drugim złośliwych uwag nie szczędził. Najczęściej na nie wystawiona była Jadwisia: krępa, nie wysokiego wzrostu, a przytem nieśmiała i bojaźliwa, bardzo niezręcznie odbywała ćwiczenia gimnastyczne. Słyszając jego uwagi, nieraz przez całą lekcyę łyżę połykała, uśmiechając się, żeby nauczyciel nie spostrzegł, jak to ją boleśnie dotknęło. W końcu zabrakło jęj cierpliwości. Jednego dnia, kiedy Ludwiś przez całą godzinę nazywał ją niedźwiadkiem, beczułką i t. p. odezwała się łagodnie:

— Mój Ludwisiu, niema się z czego śmiać, że jestem niezgrabna i gruba; taką mnie Bóg stworzył, gimnastyki nie uczyłam się tak jak ty przez kilka miesięcy, nie przynosi mi to jednak wstydu; to gorzej, jeżeli kto w tym wieku nie nauczył się dobrze mówić i mówi: *Refermaty, na obkoło, derużka.*

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE.

(Od Konwalijki dla Owieczki).

złe	by	bre	szło
do	wy	ma	co
Nie	go	na	nie

Odczytać znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 11-go.

Łamigłówki kryształowej:

J
B A R
J O D Ł A
J A D W I G A
A L I N A
A G A
A

Skrzynka do listów.

Perpetuum mobile byłby już dawno żądane Numerą otrzymał, gdyby był adres dołączył, ale zapomniał o tem, a w redakcyi go nie mamy, „Wieczory” zapewne prenumerowane są przez księgarnią. Za długi i tak zajmujący liścik serdecznie dziękujemy. Prosimy o adres jaknajprędzej.

Dąb z nad Dubniczanki i braciszek jego dawno nie odzywali się do redakcyi; przykro to nam bardzo, bo o tych chłopczykach doszły do nas wieści, że są posłuszni, pilni w naukach i wielu innymi zaletami się odznaczają. Z serca też im życzymy, aby starali się we wszystkim iść za przykładem ś. p. ojca swego, który zostawił im skarb nieoszacowany po sobie, pamięć najszlachetniejszych uczynków i rzadkiej dobroczynności. Tym sposobem jedynie staną się pociechą matki.

Skowronka z nad Wisły prosimy o cierpliwość, łamigłówki muszą być wprzód przejrzone, a i miejsce znaleźć trzeba, co jest najtrudniejsze.

Warszawiak z Podola może objaśnić braciszka, że do grona korespondentów należą wszyscy, co tylko liścik do redakcyi napiszą. Wprawa przerabiania prozy jest bardzo pożyteczną nie tylko dla poetów.

Herkules zapomniał o rozwiązaniu łamigłówki.

Gałązce bzu białego nie dziwimy się wcale, że jej długa zima tak dokuczyla; nie tylko kwiatki na tem cierpią.

Szczebiotka teraz już lepiej ułożyła łamigłówkę, można ją wydrukować.

Żubr dobrze ułożył łamigłówkę, jak tylko miejsce się znajdzie, zaraz ją wydrukujemy.

Szarża zabawny sobie wynalazła pseudonym, ale może przy nim pozostać. Liścik, zawierający tyle uprzejmych dla nas rzeczy, wielką nam sprawił przyjemność.

Śmietance na ten raz dla braku miejsca tylko serdeczne pozdrowienie przesyłamy.

Biała róża nie zadziwiła nas wcale, bo coraz nowe korespondentki codziennie nam przybywają.

Energia bardzo starannie ułożyła poezją z prozy, za co jej dziękujemy, bo niewiele korespondentek ten trud sobie zadaje.

Konwalii różowej jeszcze nie mamy i witamy ją serdecznie w gronie korespondentek.

Różyczka biała z Wołynia nigdy się nam naprzykrzyć nie może, tylko musi wybaczyć, jeśli dla braku miejsca z żalem króciutko odpowiadamy.

Czapla z nad Pohanki bardzo słusznie przysłała sprostowanie nazwy swojej rzeczki, któzby to mógł brać za złe? W słowniku Lindego znajdujemy wyrażenie: „Jak ci imię?” a tuż zaraz: „dano mu na imię Piotr”. Widocznie więc oba wyrażenia są poprawne i dowodzą bogactwa mowy naszej.

Wajdelotka zapomniała wypisać wyrazy w łamigłówce, a składanie ich ze zgłosek to kłopot duży dla redakcyi.

Jaskółka z nad Sekwany nadesłała wyborne rozwiązanie Prozy i poezyi. Czekamy opisu miłej zabawy.

Słownik czarny ułożył dobrze łamigłówki, ale wyrazów podobnych odgadywać nie warto.

Małą Laszkę upewniamy, że wszyscy kochani korespondenci bez różnicy są przyjmowani w naszej redakcyi i każdy odowiedź otrzymuje.

Heliotrop tyle łamigłówek układa, że choćby były i najlepsze, pomieścić wszystkich niepodobna.

Mały Książd będzie miał opowiadania, które tak lubi, prze-rwa nie z naszej winy nastąpiła.

Janka z Mieni i wszystkich, nadsyłających łamigłówki, o cierpliwość prosimy.

Niezapominajka z nad Niewiarzy, chociaż nowa prenumeratorka, na równi z innymi może pisywać, i do redakcyi i do papieniek.

Krakowianka zapewne przez księgarnią prenumeruje „Wieczory”, więc nie ma prawa do początku powieści, dlatego też go nie otrzymała.

Jaguara przepraszamy bardzo, ale łamigłówka jest za długa i pomysł nadto już pospolity.

Ukrainkom w Żytomierzu. Pomysł niemożliwy do wykonania, zresztą wydaje się nam niezbyt pożyteczny w obec tylu innych potrzeb.

Brzydotka z nad Tamizy niestłusznie nas posądza o nieporządek, odpowiedzi nie mogą być w żaden sposób prędzej podawane. Zresztą bez objaśnienia można było odgadnąć, iż list pisany pod adresem redakcyi z pewnością dojdzie rąk właściwych

Adasiowi P. w Stroniatynie odesłano N-r. powtórnie i adres zmieniono.

Władzia K. z Bodzechowa żąda przesyłania N-rów. brakujących, a nie dodała adresu, wyszukiwanie zaś za dużo przyczynia kłopotu.

Kochana Luniu B. w Teresówce! Znam ciebie z opowiadań, wiem ile masz lat, i że grasz na fortepianie, a także, że masz braci Stasia i Wacia. Czy miałaś w tym roku choinkę? Czyś Święta wesoło przepędziła? Zgadnij kto ja jestem? Energii i Gosposi z nad Pilicy pozdrowienia przysyłam i zapytuję o ich wiek. Dowiedzenia, odpiszcie prędko. Różyczka biała z Wołynia.

Kochana Niezapominajko biała! Znam cię dobrze na imię ci Janinka, masz lat 10, i trzech braci: L. Z. i J. mieszkasz na ulicy Wareckiej. Zgadnij kto jestem? Twoja „Biała różyczka”.

Luby Pegazie! Szczęśliwszy jesteś odemnie, bo ty byłaś, lecz cię już niema—a mnie jeszcze niema i może mię nie będzie. Pomimo to, przyjmij moję łamigłówkę i odpisz Perpetuum mobile'owi.

Droga Polska dziewczeczko! Bardzo mi się podobał twój pseudonym, więc najpierw piszę do ciebie i myślę, że mi odpiszesz. Ja mam imię królowej Polskiej, jednej z żon Władysława Jagiełły, mieszkam w Hrubieszowie i uczę się w domu przy Mamusi, mam lat siedem i jestem najmłodszą z rodzeństwa. Widuję się często ze Światelkiem, Mglą, a czasem i z brzęczącą Muszką, które znasz z naszego kochanego Pisemka. Donieś mi co o sobie. Twoja Mała Laszka.

Kochany Wilczku ze stepów chersońskich. Znam cię. Napisz do mnie przez Wieczory, ucałuj braciszka swego Kazieczka. Całuję cię Nemrod z nad Połoty.

Kochana Szarotko z Zakopanego? Bardzo mi się twój pseudonym podoba. Ja co rok jeżdżę do Zakopanego. Czy ty w tym roku tam pojedziesz? Donieś mi, jak ci imię, ile masz lat. Ja się nazywam Marya, wołają na mnie Marylka, mam lat 11 mieszkam w Krakowie, chodzę na pensję do V klasy. Twoja Gama C-dur.

Kochana Sarenko w okularach. Odgadłam zaraz kim jesteś; mieszkasz o parę mil od nas, a jednak nigdy nie widziałyśmy się, mam nadzieję, że się zapoznamy wkrótce; tymczasem pisujemy do siebie w „Wieczorach”. Twoja Gajówka z nad Obry.

Dla ubogich nadesłali: Mała Laszka kop. 50. — Wisienka rs. 1. w srebrze. — Janek z Mieni rs. 4. — Biały królik rs. 1. Helenka i Zosia rs. 1. — Wiochna z pod Lublina rs. 1.

Paczkę ubrania: od Wisienki, od Henrysi K. od M. J. D.

Na pomnik Bodouin'a: Malina kop. 15.